Jesień zostaje na twoich rękach

Jesień miała być tylko sezonem. On zmienił jej plany



Laura Bellini

Jesień zostaje na twoich rękach

Jesień miała być tylko sezonem. On zmienił jej plany

Laura Bellini

ROMANS

ISBN: 9788384903377

ALL-IN Rafał Płonkowski



SPIS TREŚCI

INTRO 4
Rozdział 1 - Korzenie nie lubią pośpiechu 12
Rozdział 2 - Granice wyznaczone ołówkiem 23
Rozdział 3 - To, czego nie widać pod ziemią 36
Rozdział 4 - Smak rzeczy, których nie planowałam 47
Rozdział 5 - Prawo do powiedzenia nie 59
Rozdział 6 - Zanim opadną ostatnie liście 69
Rozdział 7 - Rzeczy, których nie da się ukryć 81
Rozdział 8 - Między przyciąganiem a zaufaniem 92
Rozdział 9 - Ryzyko, które podejmujemy razem 103
Rozdział 10 - To, co wybieramy świadomie 114
Rozdział 11 - Miejsce na drugą osobę 125
Rozdział 12 - Cena cudzych decyzji 136
Rozdział 13 - Granica odpowiedzialności 147
Rozdział 14 - Prawda wypowiedziana szeptem 157
Rozdział 15 - Prawda, której nie można cofnąć 166
Rozdział 16 - Odległość, której potrzebuję 178
Rozdział 17 - To, co pozostaje, kiedy odchodzimy 186
Rozdział 18 - Cena oddania kontroli 196
Rozdział 19 - Wszystko, co należy do nas 204
Rozdział 20 - Jesień zostaje na twoich rękach 215

INTRO

Pierwsze jabłko spadło z drzewa dokładnie w chwili, kiedy postanowiłam, że nie zostanę tu ani dnia dłużej, niż przewidywała umowa.

Uderzyło o ziemię tuż obok mojego buta, pękając na dwie nierówne części. Zatrzymałam się między rzędami starych jabłoni i spojrzałam na rozsypane pestki. Powietrze pachniało mokrą korą, dojrzałymi owocami i ziemią, którą nocny deszcz zamienił w ciężką, ciemną glinę. Za drzewami rozciągały się łagodne wzgórza okolic Sandomierza. Mgła nie zdążyła jeszcze podnieść się znad doliny. Był ostatni tydzień września, a ja miałam przed sobą osiem tygodni pracy i bilet lotniczy do Lizbony zarezerwowany na dwudziestego ósmego listopada.

Wszystko zostało zaplanowane.

Tak lubiłam najbardziej.

Przykucnęłam przy korzeniach jabłoni, odgarnęłam dłonią mokre liście i sprawdziłam stan gleby. Korzenie były odsłonięte, a pień nosił ślady dawno zaniedbanego cięcia. Kilkanaście metrów dalej, za zardzewiałą furtką, zaczynał się ogród pokazowy szkółki Lis. Jeszcze kilka lat wcześniej podobno przyjeżdżali tu właściciele pensjonatów, architekci krajobrazu i ludzie szukający inspiracji do własnych ogrodów. Teraz ścieżki zarastała trawa, rabaty traciły kształt, a drewniana pergola przechylała się w stronę wyschniętego zbiornika wodnego.

Miałam przywrócić temu miejscu życie, nie udając, że da się cofnąć czas.

Właśnie dlatego przyjęłam zlecenie.

Telefon zawibrował w kieszeni kurtki. Na ekranie pojawiło się imię mojej przyjaciółki.

— Nie mów, że już pracujesz — odezwała się Iga, zanim zdążyłam powiedzieć cokolwiek.

— Oglądam teren.

— Dagna, jest siódma rano.

— Rośliny nie znają godzin biurowych.

— Za to ty powinnaś znać pojęcie odpoczynku. Przypominam, że ten wyjazd miał być ostatnim zleceniem przed Portugalią. Żadnego przedłużania, żadnych dodatkowych projektów i żadnego ratowania ludzi, którzy nie potrafią sami uporządkować swojego życia.

Uśmiechnęłam się mimo woli.

Iga znała mnie od piętnastu lat. Widziała, jak budowałam pracownię od pierwszych projektów balkonów po ogrody, których właściciele potrafili wydać na pojedyncze drzewo więcej, niż ja kiedyś zarabiałam miesięcznie. Widziała również moje ostatnie rozstanie. To, jak długo próbowałam przekonać samą siebie, że wspólna przyszłość nie musi oznaczać rezygnacji z własnej.

— Nie zamierzam nikogo ratować — zapewniłam. — Mam projekt, wynagrodzenie i termin zakończenia. Potem Lizbona.

— A właściciel?

— Jeszcze go nie poznałam.

— Podobno jest przystojny.

— Skąd ty bierzesz takie informacje?

— Z internetu. Są zdjęcia ze szkółki. Czterdzieści kilka lat, ciemne włosy, wygląda na człowieka, który umie naprawić dach i złamać serce.

— Bardzo naukowa analiza.

— Od tego masz przyjaciółkę.

Rozłączyłam się, zanim zdążyła rozwinąć swoją teorię.

Prawdę mówiąc, nie interesowało mnie, jak wyglądał Beniamin Lis. Interesowało mnie, dlaczego człowiek prowadzący jedną z bardziej rozpoznawalnych szkółek drzew w regionie pozwolił, żeby ogród stanowiący jej wizytówkę popadł w ruinę.

Wyciągnęłam z torby teczkę z wydrukami. Mój projekt zakładał zachowanie najstarszych jabłoni, odtworzenie kamiennych ścieżek i stworzenie przestrzeni, w której ogród pokazowy płynnie przechodziłby w sad. Bez egzotycznych ozdób, bez roślin wybieranych wyłącznie pod zdjęcia. Chciałam, żeby ludzie wchodzący tutaj czuli zapach ziemi i owoców, a nie kosztownej dekoracji.

To miał być mój ostatni polski projekt przed rozpoczęciem współpracy z portugalską pracownią zajmującą się renowacją historycznych ogrodów. Nie uciekałam od swojego życia. Przynajmniej tak sobie powtarzałam. Chciałam tylko przekonać się, kim będę, jeśli przez pewien czas nikt nie będzie oczekiwał, że zostanę.

Gdy próbowałam otworzyć furtkę, jej dolny zawias zgrzytnął i odmówił posłuszeństwa.

— Trzeba ją trochę podnieść.

Męski głos rozległ się za moimi plecami.

Odwróciłam się.

Mężczyzna stał kilka kroków dalej, trzymając w jednej ręce kubek z kawą, a w drugiej sekator. Miał na sobie ciemną koszulę z podwiniętymi rękawami, znoszone spodnie robocze i buty pokryte błotem. Włosy, przyprószone siwizną przy skroniach, wyglądały tak, jakby przeczesywał je palcami zamiast grzebieniem. Nie uśmiechał się, ale w jego spojrzeniu było coś uważnego, co sprawiło, że nie odwróciłam wzroku tak szybko, jak zwykle robiłam to wobec obcych.

— Furtkę czy standardy utrzymania obiektu? — zapytałam.

Przez chwilę patrzył na mnie bez słowa.

Potem odstawił kubek na słupek ogrodzenia.

— Zależy, które łatwiej naprawić.

Podszedł, uniósł metalowe skrzydło i otworzył je jednym spokojnym ruchem. Zamiast przejść przede mną, odsunął się, zostawiając mi miejsce.

— Dagna Rataj? — zapytał.

— A pan zapewne Beniamin Lis.

— Zgadza się.

Wyciągnęłam rękę. Uścisnął ją pewnie, ale nie za mocno. Jego dłoń była szorstka, ciepła i nosiła ślady pracy, której nie dało się wykonać zza biurka. Na kciuku miał niewielkie skaleczenie, zabezpieczone plastrem. Zauważyłam to tylko dlatego, że przez krótką chwilę patrzyłam na nasze dłonie dłużej, niż wymagało zwyczajne powitanie.

— Jest pani wcześniej, niż się umawialiśmy — powiedział.

— Chciałam zobaczyć ogród, zanim zacznie mi pan opowiadać, jaki powinien być.

Uniósł lekko brwi.

— A jeśli mam własne zdanie?

— To dobrze. Najgorzej pracuje się z ludźmi, którzy nie wiedzą, czego chcą.

— A z tymi, którzy wiedzą aż za dobrze?

— Zależy, czy potrafią słuchać.

Tym razem się uśmiechnął. Nie szeroko. Wystarczająco, żeby jego twarz straciła surowość i żebym zrozumiała, dlaczego Iga zwróciła uwagę na zdjęcia.

Beniamin podniósł kubek i spojrzał na moje plany.

— Zanim zaczniemy, musi pani wiedzieć o jednej rzeczy. Nie wszystkie drzewa, które zaznaczyła pani do zachowania, mogą tu zostać.

Poczułam znajome ukłucie irytacji.

— Ostateczne decyzje podejmuję po oględzinach. Właśnie po to przyjechałam.

— Rozumiem. Ale część terenu może zmienić przeznaczenie.

— Jak bardzo?

Nie odpowiedział od razu. Spojrzał w stronę budynku szkółki, gdzie za dużymi oknami zapaliło się światło. Widziałam niewyraźną sylwetkę kobiety stojącej przy stole. Beniamin dostrzegł ją również i odwrócił wzrok.

— Jeszcze nie wiadomo — powiedział. — Chcę, żeby ogród odzyskał dawną wartość. Na razie tyle mogę obiecać.

— A ja potrzebuję czegoś więcej niż obietnicy.

Zamiast się obrazić, skinął głową.

— Słusznie.

To jedno słowo zaskoczyło mnie bardziej niż jego wcześniejszy opór. Przywykłam do właścicieli, którzy traktowali projektantkę jak osobę wynajętą do potwierdzania ich pomysłów. On wyglądał na człowieka przyzwyczajonego do podejmowania decyzji, a jednak nie próbował zagłuszyć moich zastrzeżeń.

Weszliśmy do ogrodu. Beniamin zatrzymał się przy jednej z najstarszych jabłoni i odłamał suchą gałązkę. W świetle poranka dostrzegłam na jego dłoniach drobiny ziemi, wciśnięte w linie skóry. Patrzył na drzewo z uwagą, której nie dało się pomylić z obojętnością.

— Posadził ją mój ojciec — powiedział. — Czterdzieści lat temu. Wtedy za ogrodzeniem były tylko pola.

— Chce pan ją zachować?

— Bardziej niż pozostałe.

Przyjrzałam się pniowi.

— W takim razie zaczniemy właśnie od niej. Ale bez badań nie obiecam, że się uda.

— Nie oczekuję obietnic bez pokrycia, pani Dagno.

Sposób, w jaki wypowiedział moje imię, był zaskakująco osobisty jak na człowieka, którego poznałam przed kilkoma minutami. Nie zrobił nic, co przekraczałoby granice uprzejmości. A jednak miałam dziwne wrażenie, że ta rozmowa nie skończy się na drzewach.

Z budynku dobiegł dźwięk otwieranych drzwi.

— Beniamin! — zawołała kobieta. — Musimy porozmawiać, zanim przyjedzie reszta.

Zobaczyłam, jak na moment zacisnął szczękę.

— Zaraz będę, Marta.

Kobieta spojrzała na mnie, potem na rozłożone plany. Jej twarz pozostała nieruchoma.

— To ta projektantka? — zapytała.

— Tak — odpowiedział Beniamin.

— Czyli jednak zaczynamy.

W jej głosie nie było zachwytu.

Beniamin nie wyjaśnił tego komentarza. Schylił się tylko, podniósł z ziemi dojrzałe jabłko i podał mi je otwartą dłonią.

— Zanim pani zdecyduje, co tutaj zostanie, proszę spróbować. Ta odmiana nie wygląda szczególnie atrakcyjnie, ale ma swój charakter.

Przyjęłam owoc. Nasze palce zetknęły się na ułamek sekundy, a on nie próbował zatrzymać mojej dłoni. Na skórce jabłka pozostał ciemny ślad ziemi.

Ugryzłam. Miąższ był twardy, słodki, z wyraźną kwaskową nutą.

— Dobre — przyznałam.

— Wiem.

Uśmiechnęłam się.

— Skromność też należy do pańskich zalet?

— Nie wymieniałbym jej w pierwszej piątce.

Zaśmiałam się, zanim zdołałam się powstrzymać.

Beniamin spojrzał na mnie z takim skupieniem, jakby ten śmiech powiedział mu coś ważnego. A potem odwrócił się w stronę budynku, gdzie czekała na niego kobieta i rozmowa, której najwyraźniej nie chciał prowadzić przy mnie.

Zostałam między drzewami z jabłkiem w dłoni, planem w torbie i nieprzyjemną świadomością, że zlecenie miało więcej niewiadomych, niż wynikało z dokumentów.

Powinnam była zacząć od sprawdzenia granic działki i warunków umowy.

Zamiast tego patrzyłam, jak Beniamin oddala się ścieżką, i zastanawiałam się nad czymś zupełnie innym.

Dlaczego po tylu miesiącach, w których tak starannie uczyłam się nikogo nie potrzebować, właśnie ten nieznajomy sprawił, że zapragnęłam, aby jeszcze raz wypowiedział moje imię?

Rozdział 1 - Korzenie nie lubią pośpiechu

Przez następne dwadzieścia minut zdążyłam odkryć trzy rzeczy. Ogród był w gorszym stanie, niż wskazywała dokumentacja. Ktoś niedawno oznaczył część drzew do usunięcia, choć nie wyglądały na chore. A Beniamin Lis najwyraźniej miał zwyczaj podejmować trudne decyzje w samotności, a następnie przedstawiać je światu jako coś, co nie podlega dyskusji.

Ostatnie odkrycie przyszło wraz z jego powrotem.

Szłam właśnie wzdłuż dawnej ścieżki prowadzącej do niewielkiego pawilonu, kiedy usłyszałam za sobą charakterystyczny chrzęst żwiru. Beniamin zatrzymał się obok mnie. Nie wyglądał na człowieka, który przed chwilą odbył przyjemną rozmowę.

— Mamy problem — oznajmił.

— Jeden? To dobra wiadomość. Naliczyłam siedem.

Spojrzał na rozłożony w moich rękach plan.

— Ten przy zachodniej granicy.

— Proszę sprecyzować.

— Nie możemy tam niczego sadzić.

Obróciłam projekt w jego stronę. Zachodnia część ogrodu stanowiła najważniejszy element mojej koncepcji. Zaplanowałam tam pas wieloletnich bylin, ścieżkę sensoryczną i niewielką przestrzeń edukacyjną, w której odwiedzający mogliby poznawać dawne odmiany drzew owocowych. Bez tego fragmentu całość straciłaby naturalne połączenie z sadem.

— Dlaczego? — zapytałam.

— Potrzebuję tego miejsca do innych celów.

— Jakich?

Milczał przez chwilę.

— Związanych z przyszłością szkółki.

Złożyłam plan bardzo powoli.

— Panie Lis, uzgodniliśmy zakres prac trzy tygodnie temu. Otrzymał pan dokumentację koncepcyjną, naniósł dwie drobne uwagi i zaakceptował projekt. Teraz mówi mi pan, że prawie jedna trzecia terenu nie jest dostępna?

— Nie powiedziałem, że na zawsze.

— Ale nie może pan powiedzieć, na jak długo.

— Jeszcze nie.

Rozejrzałam się po ogrodzie, starając się opanować irytację. Miałam trzydzieści dziewięć lat, własną pracownię i wystarczająco dużo doświadczenia, żeby rozpoznać sytuację, w której klient próbuje zmienić zasady po rozpoczęciu zlecenia. Nie zamierzałam po raz kolejny udowadniać swojej wartości, naprawiając cudzy brak zdecydowania.

— W takim razie wstrzymam tę część prac do czasu otrzymania pisemnej decyzji.

— Nie możemy pozwolić sobie na opóźnienie.

— W takim razie proszę podjąć decyzję szybciej.

Patrzył na mnie przez dłuższą chwilę. Wiatr poruszył liśćmi pobliskiego orzecha, strącając kilka kropli wody na jego ramię. Nawet ich nie zauważył.

— Zawsze pani tak rozmawia z klientami?

— Tylko z tymi, którzy płacą mi za projekt, a później nie pozwalają go realizować.

Nieoczekiwanie parsknął śmiechem.

— Dobrze. Zasłużyłem.

— To dopiero początek naszej współpracy. Proszę nie wyciągać pochopnych wniosków.

Uśmiech pozostał na jego twarzy odrobinę dłużej, niż się spodziewałam. Potem Beniamin podszedł do starej pergoli i oparł dłoń o jeden ze słupów.

— Chciałbym pani coś pokazać.

— Jeżeli jest to kolejny fragment terenu, którego nie mogę dotknąć, wolę dowiedzieć się tutaj.

— Tym razem coś, co powinna pani uratować.

Poprowadził mnie za pawilon, do zaniedbanej części ogrodu ukrytej za wysokimi trawami. Pod ścianą z ciemnej cegły rosły stare krzewy róż, niemal całkowicie zagłuszone przez dzikie pędy i pokrzywy. Kilka gałązek nosiło jeszcze drobne, ciemnoróżowe kwiaty. Ich zapach był subtelny, lekko korzenny.

Przykucnęłam przy najbliższym krzewie.

— To stare odmiany — powiedziałam. — Prawdopodobnie część kolekcji historycznej.

— Moja matka je zbierała.

Odwróciłam głowę.

Beniamin patrzył na róże inaczej niż na pozostałe rośliny. Zniknęła z niego szorstka pewność siebie. Miał czterdzieści cztery lata, a jednak przez moment wyglądał jak chłopiec stojący przed czymś, czego nie potrafi odzyskać.

— Ile ich było? — zapytałam łagodniej.

— Dwadzieścia sześć odmian. Przynajmniej tyle zapisano w jej notesie. Po jej śmierci próbowaliśmy utrzymać kolekcję, ale później zabrakło czasu.

— Ma pan ten notes?

— Tak.

— Chciałabym go zobaczyć.

Spojrzał na mnie z wyraźnym zaskoczeniem.

— Naprawdę?

— Jeśli mam zdecydować, co uratować, powinnam wiedzieć, co tutaj rosło. Nie wszystko da się odtworzyć ze zdjęć.

Beniamin uklęknął przy sąsiednim krzewie i odsunął ostrożnie gałąź.

— Ta odmiana kwitła jeszcze w październiku. Matka mówiła, że jest uparta.

— Widocznie miała dobry gust.

— Do roślin?

— Do rzeczy, które nie poddają się przy pierwszym przymrozku.

Spojrzał na mnie znad gałązek. Nie odpowiedział, ale w jego oczach pojawiło się rozbawienie pomieszane z czymś, czego nie umiałam nazwać.

Pracowaliśmy przez następne pół godziny niemal bez słów. Oceniałam stan krzewów, fotografowałam pędy i zaznaczałam rośliny wymagające pilnej pielęgnacji. Beniamin przyniósł rękawice, sekatory i pojemnik na odpady. Nie próbował kierować moimi działaniami. Kiedy pytałam o wiek roślin albo sposób ich wcześniejszego prowadzenia, odpowiadał rzeczowo.

Przy jednym z krzewów zauważyłam jednak poważny problem.

— Proszę spojrzeć.

Pokazałam mu uszkodzenie przy nasadzie pędu. Drewno było spróchniałe, a ziemia wokół korzeni zbyt mokra.

— Jeśli zostawimy to bez zmian, stracimy roślinę przed zimą.

— Możemy ją przesadzić?

— Nie teraz, nie w tym stanie. Najpierw musimy poprawić odpływ wody i sprawdzić, czy korzenie są zdrowe.

— A jeśli nie?

— Spróbujemy pobrać materiał do rozmnożenia. Ale nie będę obiecywać sukcesu.

Beniamin przyjął tę odpowiedź bez protestu.

Dopiero kiedy wstałam, zauważyłam, że na jego rękawie pojawiła się długa smuga ziemi. Miał również zadrapanie na przedramieniu. Sięgnęłam odruchowo do kieszeni po chusteczkę, ale zatrzymałam rękę. Nie potrzebował przecież opieki, a ja nie miałam powodu, żeby go dotykać.

Mimo to dostrzegł mój gest.

— Coś nie tak? — zapytał.

— Róże nie są szczególnie wdzięczne wobec właścicieli.

Spojrzał na zadrapanie.

— Przyzwyczaiłem się.

— To nie zawsze zaleta.

Przez chwilę staliśmy tak blisko, że czułam zapach jego koszuli, przesiąkniętej chłodnym powietrzem i drewnem. Nie

cofnął się, lecz również nie zrobił niczego, co zmusiłoby mnie do ustąpienia miejsca.

Pierwsza odsunęłam się po aparat.

W południe przyjechała ekipa pielęgnacyjna. Dwóch pracowników szkółki miało rozpocząć oczyszczanie ścieżek i usuwanie martwych gałęzi. Kiedy dotarliśmy do zachodniej części ogrodu, zobaczyłam czerwone taśmy przywiązane do sześciu jabłoni.

— Kto je oznaczył? — zapytałam.

Starszy pracownik, pan Stefan, spojrzał niepewnie na Beniamina.

— Dostaliśmy wczoraj polecenie, żeby przygotować ten rząd do wycinki.

Poczułam, jak ogarnia mnie złość.

— Na jakiej podstawie?

— Taką mieliśmy informację.

— Od kogo?

Stefan zawahał się.

— Z biura.

Beniamin zdjął rękawice.

— Na razie nikt niczego nie wycina — powiedział.

— Ale termin był na piątek — zauważył pracownik.

— Zmienił się.

Stefan skinął głową i odszedł z drugim mężczyzną w stronę pawilonu.

Zostałam z Beniaminem przy drzewach.

— Wiedział pan o tym?

— Wiedziałem, że rozważano ich usunięcie.

— Rozważano? Ktoś już wydał polecenie.

— Bez mojej ostatecznej zgody.

— Czyli w pańskiej firmie można przygotować wycinkę bez decyzji właściciela?

Na jego twarzy pojawiło się zniecierpliwienie.

— To bardziej skomplikowane.

— Dla drzew raczej nie. Albo zostaną, albo nie.

Przeszłam do pierwszej oznaczonej jabłoni. Jej korona była nierówna, ale gałęzie wyglądały zdrowo. Podniosłam fragment oderwanej kory, obejrzałam pień i zrobiłam zdjęcie.

— Nie ma tu żadnej oczywistej przyczyny usunięcia — powiedziałam. — Potrzebuję oceny arborysty, zanim ktokolwiek podejmie decyzję.

— Mam własnych specjalistów.

— Świetnie. W takim razie poproszę o ich pisemną opinię.

— Dagna...

Po raz pierwszy wypowiedział moje imię bez formalnego zwrotu.

Odwróciłam się natychmiast.

— Słucham.

Westchnął.

— Nie chcę z panią walczyć o każde drzewo.

— Ja też nie. Ale jeśli mam podpisać się pod tym projektem, nie pozwolę, żeby zdrowe rośliny znikały dlatego, że komuś przeszkadzają w nieujawnionym planie.

Przez chwilę patrzył na mnie twardo. Potem podszedł do pierwszego drzewa i rozwiązał czerwoną taśmę.

Następnie zrobił to samo z pozostałymi.

Nie był to wielki gest. Nie rozwiązywał naszych problemów. A jednak coś się zmieniło, kiedy zobaczyłam, że nie tylko słucha moich argumentów, lecz także potrafi zmienić własne postępowanie.

— Do czasu ekspertyzy zostają — powiedział.

— Dziękuję.

— Proszę nie dziękować. Nadal uważam, że zachodnia część wymaga innego rozwiązania.

— A ja nadal uważam, że powinien mi pan powiedzieć dlaczego.

Uśmiechnął się bez szczególnej radości.

— Uczciwe postawienie sprawy.

Po południu rozłożyłam dokumentację na dużym stole w pawilonie. Zrobiło się chłodniej. Przez zabrudzone okna wpadało światło, które wydobywało z kurzu unoszącego się w powietrzu niemal złoty kolor. Beniamin przyniósł dwa kubki herbaty, choć o nic go nie prosiłam.

— Bez cukru — powiedział, stawiając jeden przede mną.

— Skąd pan wiedział?

— Nie wiedziałem. Cukier jest obok.

Roześmiałam się.

Przyjrzałam się nowym możliwościom poprowadzenia ścieżki. Jeśli zachodnia część rzeczywiście miała pozostać niedostępna, mogłam przenieść fragment nasadzeń bliżej pawilonu. Wymagało to jednak zmiany kompozycji i dodatkowych prac ziemnych.

— Mam propozycję — oznajmiłam.

Beniamin usiadł naprzeciwko mnie.

— Słucham.

— Zachowamy stary sad jako centrum założenia. Ogród różany stanie się jego spokojniejszą częścią. Zachodni pas na razie wyłączymy z prac, ale nie z projektu. Pozostanie otwarty do czasu ostatecznej decyzji.

— Ile nas to będzie kosztować?

— Finansowo mniej niż zaczynanie wszystkiego od początku. Organizacyjnie więcej cierpliwości.

— A z nią bywa u mnie różnie.

— Zauważyłam.

Pochylił się nad planem. Rękaw koszuli podsunął mu się wyżej, odsłaniając bliznę przy nadgarstku.

— A gdybym powiedział, że potrzebuję miejsca, które będzie przede wszystkim użyteczne, nie piękne?

— Zapytałabym, dlaczego uważa pan, że te rzeczy się wykluczają.

Przyglądał mi się uważnie.

— Nikt wcześniej nie odpowiedział mi w ten sposób.

— Może zadawał pan pytanie niewłaściwym osobom.

Za oknem zaczęło padać. Krople uderzały o dach pawilonu, a powietrze wypełniło się zapachem wilgotnego drewna. Beniamin przez chwilę obracał w palcach ołówek, po czym położył go obok mojego planu.

— Jest jeszcze jeden warunek — powiedział.

Poczułam, że cierpliwość naprawdę zaczyna mi się kończyć.

— Zamieniam się w słuch.

— Chcę, żeby ogród mógł funkcjonować także wtedy, kiedy pani wyjedzie. Żeby nie był piękny wyłącznie przez pierwsze trzy miesiące.

— Każdy mój projekt zawiera plan pielęgnacji.

— Nie mówię tylko o pielęgnacji. Chodzi o ludzi, którzy będą tutaj pracować. Muszą rozumieć, dlaczego coś powstało i jaką ma wartość.

Przyjrzałam mu się uważniej.

— To akurat ma sens.

— Naprawdę?

— Proszę nie wyglądać na tak zaskoczonego. Potrafię się z panem zgodzić.

— Będę pamiętał tę chwilę.

Przesunęłam w jego stronę czystą kartkę.

— Przygotuję program dwóch szkoleń dla zespołu. Jedno przed rozpoczęciem zimy, drugie po zakończeniu głównych nasadzeń. Ale w zamian oczekuję pełnego dostępu do dokumentacji i jednej osoby odpowiedzialnej za decyzje.

— Mnie.

— Właśnie tego chciałam uniknąć.

Roześmiał się głośniej niż wcześniej.

Przez moment nie był surowym właścicielem szkółki ani człowiekiem skrywającym rodzinne kłopoty. Był mężczyzną, którego śmiech rozjaśniał twarz w sposób niebezpiecznie atrakcyjny.

Kiedy deszcz zelżał, wyszliśmy przed pawilon. Nad sadem unosiła się delikatna mgła. Beniamin zatrzymał się przy schodach, a ja schowałam dokumenty do torby.

— Jutro o ósmej? — zapytał.

— O ósmej.

— I proszę zabrać coś cieplejszego. Rano zapowiadają przymrozek.

— Sprawdza pan prognozę za wszystkich współpracowników?

— Tylko za tych, którzy przyjeżdżają przed siódmą i próbują otworzyć zepsutą furtkę.

Odpowiedziałam uśmiechem, którego nie zamierzałam mu pokazywać.

Ruszyłam w stronę samochodu. Po kilku krokach usłyszałam jeszcze jego głos.

— Dagna?

Odwróciłam się.

— Tak?

— Dobrze, że pani przyjechała.

Nie odpowiedziałam od razu. W jego słowach nie było flirtu, a przynajmniej niczego oczywistego. Była wdzięczność, może odrobina ulgi. Mimo to poczułam, że chciałabym usłyszeć je ponownie.

— Proszę mi to powiedzieć za osiem tygodni — odparłam.

Kiedy odjeżdżałam, zobaczyłam w lusterku, że nadal stoi przed pawilonem.

Tego wieczoru usiadłam przy biurku w wynajętym mieszkaniu na obrzeżach Sandomierza i otworzyłam kalendarz. Pod datą wylotu do Lizbony widniał krótki napis: „Nowy początek”.

Patrzyłam na te dwa słowa dłużej, niż powinnam.

Potem zamknęłam komputer, zanim przyszło mi do głowy dopisać pod nimi jakiekolwiek pytanie.

Rozdział 2 - Granice wyznaczone ołówkiem

Następnego ranka sad przywitał mnie cienką warstwą szronu i zapachem dymu unoszącego się znad pobliskich gospodarstw. Przyjechałam kilka minut przed ósmą, wyposażona w grubszy sweter, termos z kawą i przygotowaną wieczorem listę warunków współpracy. Ostatni element uważałam za najważniejszy.

Beniamin czekał przy pawilonie. Miał na sobie ciemną kurtkę i trzymał zwinięte plany, które przesłałam mu poprzedniego wieczoru.

— Widzę, że potraktowała pani moją radę poważnie — powiedział, spoglądając na sweter.

— Wyłącznie dlatego, że temperatura spadła do dwóch stopni.

— Oczywiście.

— A pan przeczytał dokumenty?

— Dwa razy.

To mnie zaskoczyło.

Przyzwyczaiłam się do klientów, którzy podpisywali kosztorysy bez czytania, a potem kwestionowali decyzje opisane na pierwszej stronie. Beniamin wyglądał na człowieka wymagającego, ale nie lekceważącego cudzej pracy. Była to cecha znacznie bardziej pociągająca niż jego uśmiech, choć wolałam nie porównywać tych dwóch rzeczy.

Weszliśmy do niewielkiego biura w tylnej części pawilonu. Pomieszczenie urządzono prosto: drewniany stół, regały z katalogami roślin, stara mapa szkółki i kilka fotografii